

Esej nt. Summerhill

Człowiek jest istotą społeczną. Kiedy pojawia się na świecie, jesteśmy niczym tabula rasa – biała karta, która w ciągu życia wypełnia się wspomnieniami, doświadczeniami, marzeniami. Jako małe istotki widzimy świat wyłącznie przez pryzmat rodziców – to oni są dla nas wszystkim – mama i tata. Zaczynamy stawiać pierwsze kroki – na początku niepewnie raczkujemy, potem coraz pewniej i pewniej, czasem się zdarzy upadek, ale idziemy dalej. Poznajemy coraz więcej osób – z rodziny z otoczenia. Słuchamy pierwszych zakazów i nakazów, próbując się do nich odpowiednio dostosować. Potem idziemy do przedszkola – wrzuceni w tak wielką dla nas grupę społeczną zaczynamy znajdować samych siebie – uczymy się reagować w pewnych sytuacjach, czasem nie rozumiemy pewnych zachowań rówieśników, płacemy. Jednak z czasem stopniowo poznajemy zasady tej „społecznej” gry. Często pomaga nam w tym nauczyciel czy opiekun grupy. Ale ciągle jesteśmy sami – sami w poszukiwaniach swojego „ja”. Następnie idziemy do szkoły. Radykalna zmiana trybu z bawienia się, intensywnego ruchu na siedzenie w ławce jest dla nas pewnym szokiem. Jednak mimo to czujemy się tacy dojrzały, dorośli. Dostajemy prace domowe, odpowiedni czas na ich wykonanie – nasze pierwsze poważne obowiązki. Zostajemy wtłoczeni w nieznaną grupę ludzi i, chcąc ni chcąc, musimy się do nich przystosować. Nie ma innego wyjścia. Czasem odczuwamy silną potrzebę wypowiedzenia się na określony temat, „wybicia się” ponad całą resztę. Jednak tak często brakuje nam odwagi lub boimy się tego, co powie nauczyciel. A jeśli popełnimy błąd – koszmar. Wszyscy przecież nas wyśmieją. I właśnie takie myśli kształtują nas w ciągu wielu lat. Strach, niepewność, obawa o jutro, Strach przed tym, co powie kolega, nauczyciel. Lęk przed brakiem akceptacji. Do tego dochodzi coraz większa liczba „przepisów”, obowiązków, zadań i coraz większe wymagania od strony społeczeństwa. Do jakiego liceum pójść? Najlepiej do najlepszego w mieście. Zresztą ma profil ogólny, więc będziesz mieć czas na podjęcie decyzji o swojej przyszłości. A co, jeśli wolalabym wybrać technikum plastyczne? Miałabym o wiele mniej zajęć, więcej swobody, mniej zajęć, dlatego mogłabym się rozwijać pod kontem swoich zainteresowań, a nie spędzać czas w szkole na uczeniu się zbędnych mało interesujących mnie rzeczy. Nie warto – jedyna odpowiedź, którą usłyszemy. Ogólniak to ogólniak – podstawa. No to idziemy. Wybieramy profil humanistyczny, dostajemy się tam. Rodzice zalewają się łzami ze szczęścia. Potem zaczyna się harówka. Zarywam noce, usiłując wbić sobie daty do głowy, „przewalając” tony lektur. Rano wstaję nieprzytomna ze świadomością, że najbliższe dziewięć godzin swojego życia spędzę w szkole. I znowu ta paskudna geografia – koszmar! I tak wygląda nasze życie. Kiedy któryś dzień mamy trochę swobodniejszy, wcześniej skończymy zajęcia, odrabiamy kolejne sterty pracy domowej. Zresztą matura za pasem – wszyscy panikują. Rodzice zawalają nas tysiącami repetytoriów maturalnych. Widząc, że ich dziecko ogląda telewizor, panikują. Przecież nie zdasz matury! Wiesz, jakie są Twoje obowiązki! Nie marnuj czasu na głupoty! „Marnuj czasu”? Przecież to była tylko chwila – chciałam sprawdzić telegazetę. Zresztą z „marnowaniem czasu” też mam ostatnio duże problemy. Kiedy w któryś piątek nie miałam żadnych zajęć, odrobiłam lekcje i pomyślałam sobie, że wreszcie mam czas, żeby zrobić coś tylko dla siebie, nie mogłam powstrzymać się z szczęścia. Spojrzałam na komunikator GG – wszyscy moi znajomi byli „nieostępni”. Rozejrzałam się po pokoju – nie mogłam tu znaleźć żadnej książki, którą mogłabym poczytać „dla przyjemności”. Zresztą, tak po prawdzie mam dosyć książek. Rozglądam się dalej. Za szafą stoi zakurzony keyboard. Wyjmuję go, rozkładam.

Zaczynam grać. Grać to za dużo powiedziane – co najwyżej „brzdękać”. Po chwili zaczynam czuć, że coś mnie ciśnie w klatce. Czuję się bardzo dziwnie. Tak, mam wyrzuty sumienia. Ale dlaczego? Przecież kiedyś lubiłam grać, malować, śpiewać. Miałam duszę artystki. Nie ma na to czasu – niedługo matura. Wróc na ziemię – powtarzam sobie. Chowam instrument za szafę, z żalem patrzę na stare zakurzone farby, które zajmują mi tylko miejsce na półce. Może by je wyrzucić? Ach, nieważne. Pouczę się czegoś. Matura niedługo. I tak dalej, i tak dalej. Nie mam czasu na znajomych - naprawdę nie mam. Wciąż słyszę od rodziców: „Ucz się, a dojdiesz w życiu do czegoś”. „Do czegoś” znaczy do worków ze złotem. Jakie przedmioty wybrać w klasie humanistycznej: polski, angielski, historia, wiedza o społeczeństwie. Poziom? To chyba jasne, że wszystko rozszerzone! No przecież po coś chyba spędziłam większość życia nad książkami. Zdaję maturę: 80, 87, 90, 95 procent. Rodzice płaczą, chwala się wszem wobec swoją cudowną córką. Ach, kochanie, jesteśmy z Ciebie tacy dumni! Mamo, tato, ale kim ja jestem i co mam robić w życiu? Pieniądze, dziecko, pieniądze. Takie małe wyjaskrawienie, ale tylko malutkie. Cóż, pójdę na prawo – z takimi wynikami powinnam się dostać. Tak, prawo to dobry wybór. Mój wujek jest adwokatem, będę miała wsparcie. Dostaję się na prawo – rodzina wzruszona. Początki są ciężkie, ale jakoś tam sobie radzę. W końcu jestem maszyną do wkuwania. Czasem może pochlipię sobie do poduszki, ale przecież to nikogo ni interesuje. Mija pierwszy rok, drugi, trzeci, czwarty, no i piąty – obrona. Kim warto zostać? Oczywiście, że sędzią. Taka ciepłutka państwowa posadka. Piszę zatem postawę o największych pomyłkach w historii sądownictwa. Obrona na 5 – rodzina przeszczęśliwa. Mamy w rodzinie prawnika! Czy to nie wspaniale? Ta, w istocie. Teraz tylko kilka lat aplikacji. Ale co tam, paragrafów mam we krwi więcej niż erytrocytów. Spoko. Dam radę. I tak mijają kolejne lata na nauce. Jestem sędzią, mam pozycję, szybko znajduję „dobrą” pracę. Któregoś dnia wracam z sądu i po drodze widzę trzy osoby – sądząc po wyglądzie ludzie raczej biedni. Mama, tata i dziecko, synek. Rodzice huśtają go na placu zabaw, wszyscy szaleją ze szczęścia. Huśtawka staje. Dziecko zeskakuje z niej i jednym susem podbiega do rodziców. Tuli się do nich. „Mamo, tato, udało mi się zeskoczyć z huśtawki. Chyba zostanę akrobatą!” – krzyczy podekscytowany chłopiec. „Ach, mój mały akrobata...” – mówi mama, tuląc dziecko. Ile w tym dziecko jest radości, ile pasji. Nie wie jeszcze, jakie życie jest brutalne. Ale w głowie miałam tylko słowa jego matki. Wróciłam do domu i zaczęłam myśleć o przeszłości. Obejrzałam rodzinny album. Kiedyś byłam taka szczęśliwa. Miałam plany, marzenia, chciałam zostać artystką, ale rodzice mi powiedzieli, że z malowania nie wyżyję. No i mieli rację. Chyba. Czuję pewną pustkę. Patrzę w lustro i widzę trzydziestoletnią kobietę z poważnym wyrazem twarzy, z pierwszymi oznakami starzenia się skóry, bez obrączki na palcu. I myślę sobie: co robić? Może by się z kimś spotkać... Jak? Gdzie? Kiedy? Ta, przysłówki to bardzo przydatna część mowy. Mam znajomych głównie w sądzi, typowi koledzy z pracy, relacje czysto zawodowe. Czego mi brakuje? Mam to, czego zawsze chciałam, czego wszyscy ode mnie chcieli – pozycję, pracę, pieniądze. Mam również 30 lat i czuję się nieszczęśliwa. Wyścig szczurów to coś, co mnie dobija.

Można by tak pisać jeszcze długo... Jak kierujemy naszym życiem? Jak rodzice i szkoła narzucają nam pewne działania, podejmowanie decyzji, które zaważą w późniejszym czasie na naszym życiu? Ile jest nas samych w nas? Rodzice zawsze wiedzą lepiej, tak? Jak uczyć i wychowywać, żeby dziecko było spełnione, szczęśliwe i ukształtowane wewnętrznie? Aleksander S. Neill daje odpowiedzi na te pytania w swojej książce pt. „Summerhill”.

Summerhill to angielska szkoła założona w 1921 roku właśnie przez Aleksandra Neilla. Wprowadza ona nowatorskie, jak na zarówno tamte, jak i te czasy, metody dydaktyczne. Jest to szkoła z internatem, zatem dzieci uczą się i są kształtowane z daleka od rodziców. Ma to ogromne znaczenie dla wychowania dziecka. Neill wychodził z założenia, że dziecko jest z natury

istotą dobrą, że nie ma w nim ani odrobiny zła. To zdegenerowane społeczeństwo uczy go pewnych negatywnych zachowań. Neill, niczym Rousseau, uznawał „powrót do natury”. Dziecku trzeba dać maksymalną swobodę działania, postępowania, aby mogło się rozwijać w odpowiedni dla niego sposób. Stąd zasada, że dziecko wybiera sobie zajęcia, na które chce chodzić, które go interesują. Co więcej, obecność na zajęciach nie jest obowiązkowa – nauczyciele wychodzą z założenia, że w pewnym momencie dziecko poczuje, że warto przyjść na te zajęcia, tym bardziej że sam je sobie wybrał, ma zatem całkowitą swobodę. Summerhill stawia na rozwój zainteresowań. Sprzeciwia się stosowaniu presji w nauczaniu. Dziecko gdzieś w głębi najlepiej wie, co jest dla niego dobre. Cywilizacja mu te największe wartości wypacza. „Uczyć dzieci, jak być wolnymi” – to absolutna podstawa. Nie sztuką jest podać dziecku wszystko „na tacy”. Sztuką jest skłonić je do samodzielnego myślenia, dokonywania wyborów będąc w nich w zgodzie z samym sobą. Neill mówi również, że każde dziecko musi wieść swoje WŁASNE życie. Dlatego to ono o wszystkim decyduje. Jest tak, ponieważ ma do tego święte nienaruszalne prawo. Jest istotą rozumną. Robienie tego, co lubi, co chce robić, daje mu również poczucie radości, szczęścia i spełnienia – nauka jest dla niego niezgłębioną kopalnią skarbu. Tylko w całkowitej wolności ducha i umysłu jesteśmy w stanie prawdziwie się wykształcić.

W Summerhill ogromną rolę pełni również tolerancja i wzajemny szacunek. Jako że jest to szkoła koedukacyjna bardzo dużą rolę przywiązuje się do równości kobiet i mężczyzn. Również bardzo ważna jest zasada równości dorosłych i dzieci, która mówi o tym, że dzieci nie są istotami głębszymi, mniej rozgarniętymi etc. Każde dziecko ma pewną osobowość, doświadczenia, intuicję, swój wewnętrzny potencjał. To wszystko staje się podstawą do właściwej edukacji.

Uczniowie Summerhill mogą należeć również do samorządu szkolnego, który decyduje o losach szkoły. To również doskonała droga do nauczania dzieci wolności i odpowiedzialności, pokazania im, że są kimś ważnym, że mają głos i że ich głos jest słyszalny.

Poczucie radości, spełnienia, pasji i zaangażowania, jednocześnie poczucie bycia kimś ważnym w danej społeczności – to wszystko sprawia, że dziecko jest w stanie odkryć swoje prawdziwe „ja”. Nie oznacza to jednak spełniania zachcianek dzieci. W Summerhill obowiązują oczywiście pewne zasady, ale w większości związane są one z bezpieczeństwem uczniów.

Moim zdaniem Summerhill to doskonały przykład na to, w jakich warunkach człowiek powinien dorastać. Swoboda, która jednocześnie uczy odpowiedzialności. Brak przymusu, który rodzi tylko opór, zniechęcenie i ostatecznie prowadzi do zgorzknienia. Radość z tego, co robi i jednocześnie poczucie spełnienia. Świadomość tego, że jest się kimś ważnym, która nie sprzyja pysze, ale raczej poczuciu wspólnoty. Można by oczywiście mówić, że opieranie wychowania wyłącznie na zdaniu dziecka jest nieodpowiednie. Ze nauczyciel nie powinien tylko obserwować, ale przede wszystkim kierować go na konkretne ścieżki. Tylko że wtedy nie mielibyśmy do czynienia z człowiekiem całkowicie wolnym. A Summerhill wywyższa wolność i autonomię ucznia ponad wszystko. Wolność nie oznacza spełniania zachcianek – wolność to umiejętność myślenia na własną rękę, kształtowania własnej opinii, wolność to wybieranie zajęć według zainteresowań, wolność to narzucanie na siebie pewnych obowiązków, ale również ich realizacja. Człowiek wolny to człowiek myślący. A myślenie to wyznacznik naszego jestestwa. *Cogito ergo sum – Myślę, więc jestem* – to słowa Kartezjusza.

Kiedy myślimy o Summerhill z własnej perspektywy, perspektywy polskich realiów, mamy

wrażenie, że to „słoneczne wzgórze” to jakiś sen, nieosiągalne marzenie. Jednak, jak widać, tam stało się to rzeczywistością. Tylko człowiek wolny może odnaleźć samego siebie –wolny i odpowiedzialny. Kiedyś myśleliśmy, że kara to jedyna motywacja ucznia. Neill pokazuje, że nie jest tak. Trzeba uczyć współpracy, miłości i pasji do tego, co się robi. Aleksander Neill uważał, że winę za wszelkie porażki pedagogiczne, ponoszą nie uczniowie, a nauczyciele. I to właśnie oni powinni zmienić swoje postępowanie. Trzeba uczyć dziecko bycia sobą. I może kiedyś każdy będzie w stanie powiedzieć: „Kocham to, co robię! Kocham swoje życie! Jestem sobą!”. Jeśli nauczyciele zaczną podchodzić w ten sposób do nauczania, jeśli zmienią się systemy i ludzkie umysły, może i u nas, na naszym polskim podwórku, spełni się ten piękny sen... Słoneczny sen.